Rok 1898. Lwów, dnia 22. sierpnia. Nr. 33.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

PODRÓŻE.

(ERNEST HELLO).

I.

Porównywano nieraz życie do podróży; porównanie stare, ale trafne.

Ułuda naszych pragnień podczas podróży wyraźniej, aniżeli kiedykolwiek, daje się widzieć. Człowiek podróżujący, jeśli zdaje sobie dokładnie sprawę ze swych uczuć, co chwila chwyta się na gorącym uczynku ułudnych pragnień.

Przed wyjazdem z domu, jak ów gołąb z bajki, pragnie widzieć jak najwięcej w drodze.

Widzieć? Ale co widzieć? Sam tego dobrze nie wie.

Gdyby na tym padole choć jedna rzecz sama dla siebie godna była widzenia, odebrałaby nam chęć oglądania wszelkich innych rzeczy i stanowiłaby kres wszystkich naszych podróży. Ale taka rzecz ani mnie, ani nikomu zapewne nie jest wiadomą.

Niemniej przeto nasz podróżny, wyruszając w drogę, przedewszystkiem chce *widzieć.*

Gdy podróżuje koleją, zazwyczaj wspomina dyliżanse. Skoro opuści drogę żelazną i jedzie dalej końmi, z utęsknieniem myśli o wygodnym wagonie. Podróż końmi wydaje mu się tak powolną, to też z upragnieniem oczekuje wciąż najbliższej wioski, przez którą ma przejeżdżać. Komuż nie zdarzało się doznawać owego naiwnego złudzenia, z jakiem wyglądamy różnych miejsc i punktów naszej drogi, jakby na każdym jej zakręcie szczęście na nas czekało?

Po przebyciu danego miejsca, skoro spodziewane spotkanie ze szczęściem nie nastąpiło, uczuwamy pragnienie jak najprędszego osiągnięcia celu podróży, a gdy w końcu stajemy u celu, jakieś nieokreślone wrażenie smutku zarysowuje się w naszej duszy.

Bo wszelkie oczekiwanie, jakiekolwiek ono będzie, zawsze jest zawiedzone.

Zawiedzione jest wtedy nawet, gdy zostanie prześcignięte. Jeśli świetność i wspaniałość ukazującego się nam widoku przewyższa nasze oczekiwania, to doznajemy zawodu w innym, ważniejszym względzie, mianowicie w spodziewanej pełni zadowolenia.

Człowiek w ciągu dalszego życia doświadcza podobnych uczuć i nie zdaje sobie z nich sprawy.

Żadna podróż nie daje mu poznania rzeczywistych zjawisk. Gdy ogląda wspaniałości obcej przyrody, zwraca się myślą do domu pracy i obowiązku, gdzie tak często w godzinach utrudnienia lub nudy gorąco pragnął wyjazdu, a dokąd teraz, gdy w drodze się znajduje, jak najprędzej pragnie powracać.

A skoro powróci, jeśli w swej podróży widział tylko rzeczy widzialne, nie ręczę, czy nie dozna wrażenia smutku. Nie będzie to już smutek podróży, lecz smutek powrotu.

I nie ręczę, czy wkrótce nie zechce mu się nowego wyjazdu, aby inne rzeczy oglądać — a gdy wyjedzie, kto wie, czy nie zapragnie wracać niebawem, aby we własnym znaleść się domu.

II.

Niewątpliwie człowiek błądzi w tem wszystkiem, ponieważ szuka zawsze czegoś, czego znaleść nie może; ale na dnie tego błędu wielka kryje się prawda. Prawdą ową jest podwójna potrzeba, wynikająca z ogólnego prawa bytu: potrzeba rozszerzania się i skupiania, przypływu i odpływu.

Jest potrzeba krwi i serca człowieka, potrzeba dnia i nocy, potrzeba wszelkich harmonij, spragnionych pokoju wśród wrzawy, potrzeba oceanu, utrzymującego życie świata przez ruch nieustanny swych fal burzliwych, życie tej ziemi, którą oblewa i skrapia, którą pieści, wstrząsa i pochłania. Ten wiekuisty ruch potężnego żywiołu, czyż to nie wierny obraz ruchu, dokonywującego się wciąż w naszem jestestwie — nieustannego skupiania i rozszerzania się, przypływu i odpływu naszej duszy?

III.

Jeśli więc zmienne upodobania człowieka wynikają z tej zasadniczej właściwości jego natury i są prawdziwą, konieczną potrzebą jego życia duchowego — dlaczegoż człowiek tak

często bywa przez nie w błąd wprowadzony? Dlaczego nie znajduje w nich nigdy spodziewanego zadowolenia? Oto dlatego, że zamiast szukać go w świecie niewidzialnym, szuka go w świecie widzialnym. Zamiast go szukać w niewidzialnem a żywem prawie, którego świat stworzony jest tylko symbolem zewnętrznym — poszukuje go w samem stworzeniu, które symbolizuje prawo, lecz nie stanowi jego istoty.

Ten, którego wciąż bezwiednie szukamy, Jest Ten, który jest.

On jest jedyną potrzebą. Pełne niepokoju uczucie niezadowolenia, popychające nas w różnych zmiennych kierunkach nie jest czem innem, jak bolesnem odczuciem Jego nieobecności.

Choćbyśmy doścignęli i przeszli najwyższe szczyty alpejskie, nie ujrzymy Go w otwierających się przed nami nowych widnokręgach Dziewicze śniegi Himalaju, nietknięte stopą ludzką, nie draśnięte nawet ludzkiem spojrzeniem i one nie oglądały Jego oblicza. Gdyby je raz ujrzały, zamieniłyby się na strumienie ognia i płomieni,

IV.

Każda podróż sprawia nam zwykle zawód i zdaje się być streszczeniem wszelkich zawodów życia, skoro od niej wymagamy tego, czego dać nie może, t. j. celu i szczęścia stałego.

Wszelako z drugiej strony podróż może w zupełności odpowiedzieć naszym oczekiwaniom, skoro zażądamy od niej tego, co w sobie zawiera, to jest nie celu ostatecznego, lecz jego symbolów i środków, do niego wiodących.

Podróże w tym względzie wielką przynoszą nam korzyść, gdyż dostarczają nam bogatego i różnorodnego materjału, ukazują życie w coraz to nowem świetle, przerywają codziennne nasze przyzwyczajenia, odnawiają w nas niejako soki żywotne i pomnażają wewnętrzne nasze zasoby.

Albowiem tak ubodzy jesteśmy, iż ciągle musimy żebrać: żebrzemy chleba dla ciała i chleba dla umysłu naszego.

Skoro kraj jakiś w przeciągu dłuższego czasu dawał nam swe wytwory różnorodne, swe zwyczaje, rozmowy, idee swe, życie i swoją mowę, skoro dostarczał nam codziennie powietrza i chleba — kraj ten wyczerpie się dla nas i uczuwamy potrzebę udać się gdzieindziej na żebraninę.

A skoro pobędziemy dłużej w nowej okolicy, do której się udamy, z kolei i ta okaże się wyczerpaną. Jesteśmy tak wielcy, że nic nie starczy dla nasycenia nas i tak nędzni, że musimy wciąż się uciekać do owych rzeczy niewystarczających i wciąż odnawiać nasze zasoby, które wyczerpują się, skoro tylko zostaną nagromadzone.

Mówią często, że podróż kształci. W znaczeniu, jakie bywa zazwyczaj nadawane temu słowu, wyraża ono oczywiste i bardzo wielkie głupstwo. Zwyczajnie bowiem, pod wykształceniem rozumie się bezładny zbiór wiadomości o faktach nic nie znaczących, pospolitych i banalnych...

(Dokończenie nastąpi).

W. G..

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Było to znowu wiadrem wody, wylanem na rozpaloną głowę Albina. Odwoływanie się Malwiny do rozsądku w chwili, gdy ten najmniej mógł mieć w niniejszym wypadku przystępu, było czemś takiem, co się Albinowi w głowie pomieścić nie mogło. Przykro mu się zrobiło w obec tej kobiety, która po scenie namiętnej przed chwilą, zechce mu może sypać morały, i znowu zamiast dyszącej miłością kochanki, widział przed sobą tylko zimną kokietę, działającą z planem i rachubą. Ochłonął zupełnie z wrażeń, którym zupełnie poddawał się niedawno i zrobiwszy minę o ile możności serjo, zapytał już spokojniej:

— Słucham tedy, panno Malwino, mówmy rozsądnie.

— Powtarzam więc na wstępie — odparła — o co pytałam poprzednio, co mi pan możesz ofiarować za wzajemną miłość, gdybym taką miała dla pana?

— Co ja mogę pani ofiarować?... odpowiedział zakłopotany, niespodziewając się tak obcesowego wstępu — Jeżeli pani moje szczere wyznanie i serce moje nie wystarczą...

Uśmiechnęła się lekceważąco.

— Wyznanie?.. Jestto — przyznam się panu otwarcie, bardzo ładna gra słów, działająca na nerwy tem bardziej i tem więcej, o ile kto lepszym lub gorszym jest deklamatorem. Znam się zbyt dobrze na wartości waszych wyznań, nasłuchałam się ich dość w rozmaitych czasach i od... rozmaitych mężczyzn, i przywykłam do tego, aby je uważać za zdawkową monetę, mającą wartość jedynie dla pewnej chwili, dla osiągnięcia pewnego celu, a potem ..

— Więc pani poprostu nie wierzysz w szczerość słów moich? — zapytał Albin urażony.

— Żebym panu zupełnie nie wierzyła, tego nie powiem, jak i niewiem, czyś pan sobie dokładnie zdał sprawę z pańskiego dla mnie, jak pan powiadasz, uczucia. Pozostaje nam jeszcze *serce*, na które się pan odwołujesz. Powiedz mi pan całkiem otwarcie, bez zastrzeżeń, szczerze: Czy byłbyś pan panie Albinie, w możności całe je dla mnie ofiarować?

Przerwała na tem i bacznie w oczy Albina spojrzała. Czytała w nich wielkie zakłopotanie i całą uwagę skupiła w tem, co jej powie na to, zupełnie zresztą w tym wypadku naturalne zapytanie. Nie naglila o odpowiedź, domyślała się bowiem, że Albin musi dobrze rozważyć, nim odpowie na to, co mogło być tak dobrze za kłamstwo i bardziej jeszcze niż za prawdę poczytane.

Albin także nie spieszył z odpowiedzią; za mało miał na to czasu, i pod wpływem obecności Malwiny, nie mógł nawet ostatecznie zanalizować tak nagle uczuć swego serca, w którem, zdawało mu się, że jedynie i wyłącznie Nina dotąd

panowała. Gdyby powiedział Malwinie, że serce jego dla niej tylko bije, prawdopodobnie rozśmiałaby mu się w oczy, a i on sam wiedział bardzo dobrze, żeby skłamał. Znalazł się więc w położeniu bez wyjścia, w sytuacji nadzwyczaj niemiłej; bo wszakże po tej rozmowie, gdy wyjaśnienie musi nastąpić, pozostanie w jej oczach nędznym uwodzicielem, który nie licząc się z tem, kogo chciał uwieść, wart będzie całej wzgardy kobiety, choćby takiej jak Malwina, dość wyrozumiałej na pewne skrupuły. Widział teraz, że jest podobny obecnie do nierozważnego łowca, który wybrawszy się na polowanie, sam wpadł w pułapkę, którą na zwierzynę nastawił.

Malwina bawiła się najwidoczniej jego zakłopotaniem. Obojętnie sięgnęła do stolika i poczęła przewracać kartki jakiegoś albumu, niepatrząc na zamyślonego Albina, który siedział oparty głową o wezgłowie kanapki Gdyby mógł był w tej chwili zniknąć z tego upajającego go otoczenia, gdyby w tej chwili dało się wszystko odwołać, co nabroił, byłby pół życia dał za to. Niestety, dałoby się to zrobić tylko jednym sposobem, gdyby był mianowicie pozostawił Malwinę bez odpowiedzi i zrezygnował ze wszystkiego, pożegnał ją i odszedł. Nie była to droga wyjścia honorowa może zupełnie, potem co między nimi zaszło, ale jedynie możliwa. Czy jednak mógł on się chwycić tego punktu wyjścia? — Byłby bezpowrotnie w jej oczach skompromitowany, a przecież byłoby trzeba coś odpowiedzieć, musiał jakoś wybrnąć, albo wycofać się z honorem.

Milcząca ta scena za długą była nawet dla Malwiny; przyszło jej nareszcie na myśl, że bytność Albina, za długo się jak na zwyczajną wizytę przeciąga i służba może sobie Bóg wie co o tem myśleć. Przyzwyczajona była oddawna, co prawda, ignorować plotki gminu i służby, ale trzeba było dbać przecież o pozory. Obróciła się od stolika w stronę Albina i nic nie mówiąc, oczyma jakby przynagliła go do odpowiedzi.

Pojął ten jej ruch i ten gest wymowny. Powstał i przesunąwszy ręką po czole, jakby myśli swe pod czaszką porządkował, westchnął:

— W istocie pani, nie byłem przygotowany na takie *rozsądne* wyjaśnienia. Myślałem, że zasługuję na trochę wiary.

— Och cóżbo pan powiada Daleką jestem od tego, ażeby panu nie wierzyć... w innych kwestjach.. ale w tym wypadku, wierz mi pan, tak dla mnie wyjątkowym, muszę dać miejsce przedewszystkiem chłodnej rozwadze. Dlatego, daleka, powtarzam, od tego, ażeby panu nie wierzyć, zapytać muszę, czyś się pan, panie Albinie, dobrze zastanowił nad dalszemi konsekwencjami tego, coś mi pan dziś powiedział, bo ja, przyznam się, jestem bardzo a bardzo wymagającą...

Oczyma zapytał ją, coby miało znaczyć to „wymagającą“

— Jaki pan, panie Albinie, niedomyślny. Rozważ pan sam, jaką ja rolę miałabym odgrywać w tej trójce.

— Trójce? — zapytał Albin zdziwiony.

— A tak, w trójce — śmiejąc się odparła Malwina — Bo przecież troje nas jest angażowanych w tym stosunku: Pan, ja i... pańska żona.

Nie mógł zaprzeczyć, że Malwina miała słuszność, miała plan jakiś, wysuwając Ninę w tej całej rozmowie, która go już znużyła i stawała się dlań w wysokim stopniu nieprzyjemną. Przyszedł tu upojony szałem, obiecywał sobie chwil kilka rozkosznego zadowolenia, a tymczasem zamiast tego wszystkiego znalazł się w obec kobiety działającej z planem i wyrachowaniem, i teraz zupełnie już nie wiedział, do czego właściwie zmierzała.

— Niech mnie pani dokładniej objaśni — rzekł chłodno, do czego to wszystko zmierza? Przyznaję, że może zbyt lekkomyślnie postąpiłem sobie, prosząc panią o chwilę sam na sam, ale nie miałem o tem najmniejszego pojęcia, że rozmowa nasza zejdzie na proste rozumowanie, na takie tory, z których zdać sobie sprawy nie mogę.

— Dobrze więc; będę jaśniejszą. Siadaj pan, panie Albinie, tu bliżej przy mnie. Mogłabym się czuć tem, co pan powiedziałeś, bardzo a bardzo obrażoną. — Przypuszczałeś pan, jak widzę, — przyznaję — może ośmielony moją dziwną naturą i pobłażliwością, — że przyjmę jego oświadczyny — sam pan przyznasz że dziwne — bez zastrzeżeń. Wszak prawda? Powtarzam raz jeszcze, że nie jestem kilkunastoletnią dzieweczką, powodującą się pierwszą chwilą szału, i dlatego miałam prawo zapytać pana, czy zbadałeś dobrze swe dla mnie uczucie — miłości — jak pan powiadasz, a w co ja, nieobrażając pana, nie mogę wierzyć. Gdybym zaś uwierzyła, gdybym uczucie to podzieliła, chyba pan nie przypuszczasz, żebym poprzestała na roli tkliwej, sentymentalnej, bezinteresownej kochanki...

Zarumieniła się mocno i nie patrząc na Albina, jakby wzroku jego chciała uniknąć, ciągnęła dalej:

— Miałabym prawo domagać się od pana czegoś więcej, nad taką niezwykłą dla mnie i dla pana idyllę, a niestety pan byś mi tego dać nie był wstanie, bo jesteś związany. Czy może tak nie jest?

Albin zwiesił głowę i na takie stanowcze wyrazy nie miał ani słowa odpowiedzi. Czuł, że ma do czynienia z kobietą dumną i ambitną, której nie wystarczy spożywanie zakazanego owocu w tajemnicy, z kobietą, która umiała zapanować nad swemi namiętnościami i która byłaby zdolną doprowadzić go do zerwania najświętszych obowiązków, byleby sama wyszła z tego zwycięską. — Nierozumiał jej jeszcze dokładnie, do czego zmierzała, ale domyślał się, że żądałaby za oddanie się jemu, takiej ofiary, do jakiej on niebyłby nigdy zdolny.

— Pani — rzekł po chwili, — niemogę i niechcę się pytać dalej, aby nie być zmuszonym do dawania albo niemożliwej do wykonania, albo wprost kłamliwej odpowiedzi. Dlatego daruj pani, że na tem skończymy.

— A widzisz pan — odparła z lekkiem oburzeniem w głosie — a widzisz pan, że nie byłbyś zdolnym niczego dla mnie poświęcić. Nazywają mnie samolubną. Boże! — wszak mnie jako wolnej osobie, wolno być przecie w różnych wypadkach samolubną. O! wy mężczyźni, nie jesteście wcale samolubnymi. Wasze wyznania, zaklęcia i przysięgi mają wartość na tak długo, dopóki wasza ubóstwiana — jak nazywacie wierne wam istoty, — nie ośmielą się zażądać od was jakiej ofiary. Wtedy topnieją wasze namiętne wyznania, pryskają przysięgi — i nas posądzacie o samolubstwo? Cha! cha! cha! — zaśmiała się szyderczo — w istocie warto przywiązywać wagę do waszych przysiąg gorących...

Jak zbrodniarz lub winowajca, wysłuchał Albin tego gorzkiego wyrzutu, który sam wywołał z ust Malwiny.

— Nie gniewaj się pan na mnie, panie Albinie, ja nie mówię tego specjalnie o panu. Ale skończmy już raz w istocie to rozumowanie. Powiedziałam panu szczerze i otwarcie co myślę, resztę pozostawiam panu. — Znasz pan już moje

zapatrywanie, wiesz czegobym od pana zażądała, gdybym miała uważać dzisiejsze nasze spotkanie za początek dalszego stosunku; od pana zależy jego ciąg dalszy. Więcej ponadto, niemam nic do powiedzenia; zrozumiesz, że więcej mówić nie mogę.

Albin skinął zlekka głową. Uważał, że rozmowa na dziś skończona. Wziął kapelusz w rękę i skłoniwszy się Malwinie głęboko, jakby po najkonwencjonalniejszej w świecie wizycie, pożegnał ją.

Z filuternym uśmiechem wyciągnęła dłoń ku niemu i patrząc mu w oczy — panie Albinie — szepnęła — wszak nie gniewasz się pan na mnie za prawdę?.. i spodziewam się, że się jeszcze zobaczymy. Tylko bądź pan grzeczny — dodała, grożąc mu paluszkiem — bo ja jestem bardzo wymagająca, bardzo samolubna... nie lubię podziału z nikim...

Odetchnął, gdy się znalazł w przedpokoju, gdzie ten sam służący co wprzódy, ze źle ukrywanym, złośliwym uśmiechem, futro mu podawał. Chłód na dworze ochłodził i zmysły jego, podrażnione przed chwilą. Przedewszystkiem spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze tak późno, ażeby nie mógł wstąpić na chwilę do teatru, zabezpieczając się w ten sposób na wszelki wypadek, gdyby go Nina spytała, gdzie był tak długo. Ale tak mu to było obojętne, co grają i jak grają, jakby go wcale w teatrze nie było. On rozważał w tej chwili nad tem, jak daleko się posunął w ślepej dla Malwiny namiętności, myślał nad słowami tej szczególnej kobiety i strach go ogarnął przed tem, czego ona, choć wyraźnie nie wypowiedziała, żądała od niego. Wszak znaczyłoby to mniej więcej tyle, co wyrzec się Niny, zerwać związek małżeński i rodzinny! W głowie mu się pomieścić nie mogło, jak taka myśl mogła się zrodzić w głowie kobiety, której przecież o pozory światowe, o opinję ludzką chodzić musiało. Stawało się to dla niego niepojętem prawie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NIEZNANE DZIEŁO FILOZOFICZNE VITELLIONA.

Oprócz cenionej bardzo w swoim czasie „Optyki“, oraz traktatu „O perspektywie“ Vitellion (mylnie nazywany Ciołkiem) napisał, jak świadczą znajdujące się w tych dwóch dziełach jego wzmianki, kilka innych treści astronomicznej, przyrodniczej i filozoficznej[1]). Pomiędzy temi ostatniemi znajduje się traktat „O porządku istnień“, o którym kilka razy wspomina Vitellion w dedykacji optyki innych miejscach. P. Rubczyński[2]) odszukał w Laurencjanie florenckiej rękopis pod tytułem *De intelligentia*, przypisywany Alanusowi, a zbadawszy go bliżej, oraz skreśliwszy charakter pisma, przekonał się, że należy nie do XIII-go, lecz do XIV-go stulecia, a treścią swoją odpowiada tytułowi nieznanego dotąd dzieła Vitelliona „O porządku istnień“, niemniej, jak i wypowiedzianymi tu poglądami zbliża się do niektórych myśli, rzuconych w „perspektywie“ tegoż autora. Na podstawie tego podobieństwa, a niezgodności z poglądami Alanusa[3]), przypuszcza p. Rubczyński, że rękopis ten jest częścią zamierzonej na większą skalę przez Vitelliona rozprawy, fragmentem z niewykonanego w całości programu. Jeśli przypuszczenie to, które wydaje się bardzo prawdopodobnem, zostanie stwierdzone, przybędzie jeden wybitny przedstawiciel do szczupłej gromadki naszych filozofów średniowiecznych, traktat bowiem wspomniany stanowi znaczny postęp w stosunku do filozofji XIII-go wieku, a nawet zatrąca pewnemi myślami zupełnie nowożytnemi, okazuje zarazem w autorze przyrodnika raczej niż fachowego filozofa scholastyka[4]). Zasadniczą myślą, zbliżającą ten traktat przednowy do perspektywy Vitelliona jest ta, że światło stanowi istotę wszechrzeczy.

Aby wytłumaczyć znaczenie tytułu dzieła, powinniśmy przyjrzeć się poglądom, na których tle ono powstało. Myśl o stopniowaniu istot jest nowoplatońską i tak doskonale zlała się chrześciańskimi poglądami na hierarchię duchów, że przez szereg wieków cieszyła się uznaniem powszechnem. Wiązała się też ona z odwiecznem zagadnieniem teorji poznania, mianowicie: czy przy poznaniu otaczającej nas rzeczywistości zachowujemy się zupełnie biernie (tak, jak biały papier, na którym wytłaczają się litery druku), czyli też wspólnie z przedmiotem zewnętrznym przyczyniamy się do urobienia pojęć i wyobrażeń; a jeśli tak, to jaki zachodzi stosunek między podmiotowymi a przedmiotowymi składnikami wyobrażeń?

Przyjęta przez Arystotelesa bierna recepcja form z zewnątrz zostawała w sprzeczności z uznawaną przez tegoż czynną i organizacyjną naturą umysłu. Neoplatonizm usiłuje rozwiązać tę sprzeczność następującem rozumowaniem: „Jeżeli prawdziwy przedmiot poznania jest

[1]) Przytaczam tu w tłomaczeniu dosłownem wyliczający te dzieła ustęp z przedmowy Risnera do Bazylejskiego wydania optyki 1572 r. którego egzemplarz znajduje się w bibliotece uniwersytetu warszawskiego:

„Zaprawdę był Vitellion sarmatą, żył w czasie niebardzo przychylnym dla umiejętności, a zwłaszcza tak oderwanych; biblioteki włoskie znalazł okryte kurzem, a w nich pogrzebane optyki; co i jak zdziałał jednak siłą geniuszu, najpiękniejszym tego pomnikiem oraz wieczystem świadectwem będą nietylko physiologicae, wymienione w księdze V-tej teoremacie 18 i w ks. X teor. 80 (optyki); w księgach de ordine 8, de elementatis conclusionibus, o których wspomina w przedmowie, oraz w teor. 28 księgi I-szej; w dziele de scientia motuum coelestium, o których wzmianka znajduje się w 10-ej teor. 53, lecz przedewszystkiem w dziesięciu księgach optyki“. Traktat o porządku istnień wymienia się tu nietylko jako projektowany (ob. W. Rubczyński l. c. (str. 4), lecz jako już napisany.

[2]) Witold Rubczyński: „Traktat o porządku istnień i umysłów i jego domniemywany autor Vitellion“. wyd. Akademii Umiejętności w Krakowie, 1891.

[3]) Które szczegółowo wykazane są w 2-im dodatku do wyżej wymienionej pracy.

[4]) Myśl tę oprócz bezimienności rękopisu stwierdza następujący ustęp: „Zamiarem naszym jest zebrać w krótkości trudniejsze z pomiędzy zagadnień przyrodzonych, aby je i łatwiej wdrożyć w pamięć i późniejszym badaczom tych nauk się przysłużyć. Niech więc zdala się trzyma wszelka zawiść, by owoc trudów nie stracił na wartości w oczach czytelnika, gdy pozna autora“ (Rubczyński, l. c. str. 23).

natury duchowej, t. j. takiej samej, jak duch poznający, a zarazem ten ostatni jest czemś z natury swej czynnem, to poznanie doskonałe i prawda czysta nie mogąc z sobą iść w parze w umyśle ludzkim, ale tylko w tym, który przez samą myśl zarazem tworzy, gdzie rzeczywistość przedmiotu nie uwłaszcza czynnej podstawie przedmiotu wobec niego t. j. w umyśle Bożym. Myśl ta, przejęta od Platona przez św. Augustyna, prowadzi do przypuszczenia rozmaitych stopni istot poznających, oraz rozmaitych sposobów poznania. Tylko wiedza Boża, która tworzy swój przedmiot, ogarnia go w całości; wszelka inna musi być mniej lub więcej bierną, mniej lub więcej niedoskonałą, a poznanie każdej istoty, która prawdy nie tworzy, zasadza się na rozwinięciu jej dążności skupiającej.

Na tle tych myśli powstał traktat, o którym mowa, przedstawiający pierwsze zarysy nowożytnego idealizmu. Całość dzieli się na trzy części. W pierwszej autor dowodzi, że musimy przyjąć pierwszą przyczynę wszechrzeczy i do jej pojęcia dołączyć pewne określenia. Oryginalnem tu jest podciągnięcie Boga pod kategorję substancji. Takie rozszerzenie pojęcia substancji, uprzedzające myśl Spinozy, nie jest właściwe ani scholastykom, ani nowoplatonikom średniowiecznym. Osobliwą jest również następująca argumentacja: „Dwa są rodzaje przyczyn — powiada autor — czynnych w świecie przez się, t. j. z istoty swej: umysł i natura. Ale umysł czynny jest tylko wtedy, gdy ma materję, działaniu swemu poddaną; kształtuje, ale nie stwarza. Natura zaś w poruszeniach swoich stosuje się do norm, których sama sobie nie nadaje i jest wobec nich bierną. Natomiast jej przemiany odbywają się na niej i dla niej i nie przechodzą na dalszy zewnętrzny pokład tak, jak z umysłu w naturę. Po nad temi jednostronnemi, ograniczonemi w swych siłach przyczynami musi być potęga, która nietylko kształtuje, ale stwarza sama sobie podkład dla swych kształtowań".

W drugiej części usiłuje autor wykazać, że skutki i własności światła widzialnego odpowiadają swym określeniom przyczyny wszechrzeczy. Pisarze średniowieczni (św. Tomasz, Dante) niejednokrotnie odwoływali się do analogji pomiędzy szerzeniem się i działaniem światła na ciała, a oddziaływaniem wyobrażenia na umysły; autor traktatu, o którym mówimy, robi z tej analogji podstawę swego systematu. Światło jest istotą wszechrzeczy, obejmuje i przenika wszystkie jestestwa materjalne, a od ilości zawartego światła zależy ich większa lub mniejsza „schlachetność", ich stanowisko w szeregu istnień. Dostrzega też autor bliskość pomiędzy światłem a ciepłem, które uważa za ruch drobnych cząstek. Pogląd ten na ciepło był, jak wiadomo, później wypowiedziany przez Bakona, którego trudno posądzać o nieznajomość dzieł Vitelliona, optyka bowiem tego ostatniego była do XVII-go wieku powszechnie używanym podręcznikiem. Nie należy widzieć w tym poglądzie, jak to czynią niektórzy, antycypacji współczesnej, mechanicznej teorji ciepła; istota tej teorji, jak i wszelkiej teorji naukowej, polega na ilościowem określeniu zjawiska; kamieniem jej węgielnym — mechaniczny równoważnik ciepła, mniejsza o to, za pomocą jakich wyobrażeń jakościowych formułuje się owo ilościowe określenie. Cykl Carnota, stanowiący podstawę mechanicznej teorji ciepła wysnuty był przy pomocy wyobrażenia o cieple, jako o płynie nieważkim.

Trzecia część traktatu, od którego odbiegliśmy na chwilę, rozwija dalej założenie, do którego doszła druga, że czysta światłość duchowa ma pełnię życia i zadowolenia, dzięki wiecznej, doskonałej jedności pierwowzoru z energią myśli, która w samem ogarnieniu siebie, niezależna od niczego po za sobą, wie i tworzy wszystko. Na niższych stopniach poznania — u ludzi i duchów czystych nie może być tej zupełnej jedności i niezależności. „Autor, wierzący niewzruszenie w skalę istot doskonalszych i mniej doskonałych. stara się poprzeć, uwydatniając przejścia od doskonałych, prostych i niezależnych ku coraz bardziej złożonym i zależnym sposobom poznania". Odróżniwszy już poprzednio w naturze każdego światła siłę czynną i zdolność do tworzenia odbić (*virtus activa et virtus exemplaris*), naocznia tu, jak w miarę zstępowania w dół po skali istnień, owa siła czynna słabnie, a odbicia stają się w końcu czysto zewnętrznemi (na zwierciadłach, u ciał nieorganicznych). Im poznanie doskonalsze, tem bardziej czynne wobec przedmiotu swego, tem więcej go opanowywa: zwierciadło odbija przedmiot takim, jakim jest; dusza zwierzęcia skupia już w sobie skutki światła w stanie nieprzestrzennym, ale zachowuje się biernie wobec nich, nie wznosi się do sądu porównawczego, stanowiącego, przywilej duszy ludzkiej.

Wł. M. Kosłowski.

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

Rozdział V.

La Ferlita byłby się bardzo zdziwił, gdyby mu ktoś powiedział, że stara się o względy hrabiny. O staraniu się o nie nie było wogóle mowy, a jeżeli już mogła być, to było to bardzo delikatnem staraniem się.

Coprawda, zaczął jak student od tego, że się w niej kochał, jednakowoż przy pierwszem spotkaniu oblała go zimną wodą, a potem oboje śmiali się szczerze z tego, co było, z tego głupstwa.

Że jej nie kochał, tego był zupełnie pewnym, aczkolwiek chętnie przebywał w jej towarzystwie. Była zupełnie inną, niż ta Nata, którą zdawało mu się, że zna: była to kobieta co kwadrans inna, nic tylko nerwy i kaprysy, zmieniająca się co chwila, nigdy ta sama, a może nawet kobieta, wobec

której w danej chwili nie można było wiedzieć, w jakim tonie odpowiadać na jej pytania.

Jako kochanki nie można jej było porównywać wcale ani z markizą, ani z jasnowłosą Targatti, ani z Palmirą, i wogóle jako taka nie była wiele warta, ale jako przyjaciółka była nieprześcignioną; w domu jej nie nudzono się nigdy, nawet wtedy, gdy się siedziało w milczeniu; nie można się było obronić palącej ciekawości jaką też dziś będzie ta kobieta, której kaprysy bywały zawsze niespodzianką, gdy się przestąpi próg jej willi.

I nie wiedząc sama o tem, nadawała ta przyjaciółka swej poufałości jakieś piętno tajemniczości nieznajomej, za którą człowiek się odwraca, gdy spotka ją na Via Calzaioli. Niespodzianki były jej największym urokiem.

Ale Nata miewała też chwile, w których dzika jej natura wybuchała, zwłaszcza gdy znajdowała się sama. Wtedy całe godziny przepędzała na fotelu przed kominkiem z szeroko rozwartemi oczyma, które nic nie widziały, nie myśląc o niczem, oddając się tylko przyjemnemu działaniu ognia. Niekiedy długo słuchała Giorgia z zaciśniętemi usty i zmarszczonemi brwiami, nie mówiąc ani słowa, podczas gdy myśli jej błądziły gdzieś w przestrzeni, a potem opierając głowę o poręcz fotelu odpowiadała znudzona, monosylabami i często przewrotnie. Gdy to zachowanie się przypominało Giorgiowi, że już czas na niego, aby się pożegnał, pytała się, dlaczego odchodzi tak wcześnie i prosiła, aby jeszcze został. Obraz jednak się nie zmieniał. Rozmowa znowu zasypiała, podobnie jak gasł ogień na kominku i gdy nagle spostrzegali oboje, że przez pół godziny siedzieli oboje w milczeniu, wstawała i życzyła mu dobrej nocy.

Mimowoli stawał się La Ferlita niekiedy smutnym. Jego dobry humor, żarty, nowinki z dnia marły mu na ustach, a widmo tego strasznego cierpienia, na które ona sama nie mogła zamknąć oczu, przerażało go także. Niespostrzeżenie, prawie ukradkiem przyglądał się jej i starał się odczuwać jej głęboką, utajoną gorycz. Potem starał się iść za biegiem myśli tej nieszczęśliwej kobiety, która wszędzie musiała widzieć suchoty: w wesołym ogniu na kominku, między brokatami portjer i w uśmiechu młodości i piękna.

Potem stawała mu ta kobieta z dawniejszych czasów, która w nim zbudziła taką palącą ciekawość i wywarła na nim taką pełną uroku siłę magnetyczną, przelotnie ale jasno przed oczyma. Wobec rzeczywistości, czuł się zdziwionym i zakłopotanym, a gdy nie słyszał jej słów ironicznych i zimnych jak lód, złudzenie było jeszcze dokładniejszem. Nie miał odwagi odzywać się w takich chwilach, lecz oddawał się głębokiej zadumie, obserwując w milczeniu jej jasne sploty, spadające na szyję, białe ręce splecione na kolanach i twarz, na którą płomienie rzucały to jaskrawe, to niebieskawe światło,

Ona natomiast miała zawsze twarz marmurową i zachowywała głęboką lodowatą obojętność.

Niekiedy, ba! prawie zawsze, gdy Giorgio był wesoły i usposobiony do żartów, zwracała na niego nagle swoje siwe oczy z wielkiemi, fosforyzującemi źrenicami i patrzyła w twarz jego przez kilka sekund, a w twarzy jej nie zadrgał ani jeden muszkuł; te oczy, tchnące nadmiarem życia w tej marmurowej twarzy wywierały dziwne wrażenie na Giorgiu, który nie mógł znieść tego pewnego, przenikliwego wzroku, tak jak gdyby miał coś na sumieniu. Po większej części słuchała go w milczeniu i rzekomo uważnie, lecz skoro tylko odwrócił oczy, usta jej poruszały się nieznacznie, jak gdyby coś szeptała; jemu jednak wydawała się jej twarz zawsze jednakowo lodowatą i nieprzeniknioną.

— O czem pani myśli? — zapytał się jej pewnego dnia, poczem spojrzała na niego z taką zdziwioną miną, że zaczął żałować swego pytania.

— O niczem... staram się wyjaśnić sobie, czy wczoraj na balu u pani de Rancy bawiłam się dobrze i czy mi się muzyka don Carlosa podobała.

Gdy mu dawała jedną z takich odpowiedzi, wydawało się Giorgiowi, że uderza go w twarz fala czegoś nieznanego w jej życiu, a pełnego ostrych zapachów i niewytłomaczonej siły przyciągającej, która go oszałamia. Potem milczał znowu i wydawało mu się, że nagle tonie z niejasnem uczuciem szorstkiej i bolesnej rozkoszy w przeszłości tej nieodgadnionej kobiety. Jego uczucie dla niej, która pomimo całej poufałości była dla niego tak obcą i tak daleką, było mięszaniną gorzkiego współczucia i palącej ciekawości i dziwna rzecz, właśnie te wrażenia, które najzazdrośniej przed nim ukrywała i które dlań były najwięcej obcemi, pociągały go ku niej najwięcej. W pewnych chwilach miał pragnienie, aby mu opowiedziała całą swoją przeszłość, aby w wspólnym uścisku powierzyli sobie wszystko wzajemnie i mogli potem płakać wspólnie, ale nie myślał wcale o tem, że dlatego sobie tego życzy, ponieważ ją kocha.

— Chciałbym być pani bratem — rzekł do niej pewnego wieczora, gdy miał serce przepełnione uczuciem.

— Dlaczego? — zapytała Nata, odwracając się nagle.

— Aby pani nigdy nie zostawiać samej z myślami.

— Ależ proszę, znajduję się w tedy właśnie w doskonałem towarzystwie.

— Wybacz mi pani, jeżeli powiedziałem za wiele odparł sucho.

— Przeciwnie. Dlaczego nie miałbyś pan być moim bratem? Ponieważ nie jesteśmy jeszcze przyjaciółmi, nie staniemy się kolegami i nie możemy być nigdy czemś innem, to bądźmy bratem i siostrą.

— Chciałbym mieć prawo czytania w pani myślach, uścisnąć pani w pewnych chwilach rękę.

— Ochraniać mnie, pomagać mi, koić moje cierpienia, opiekować się mną, jak prawdziwy brat — przerwała mu. — Nazywaj mnie pan „baby“, La Ferlita i przynoś mi pan cukierki.

— Przyznaję, że nie mam słuszności — odparł Giorgio i szorstkim ruchem cofnął rękę.

— Ale powiedz mi pan, czy się panu wydaję rzeczywiście tak chorą, i czy pan sądzisz, że myślę o śmierci, jak Marja Magdalena? Gdyby tak było, używałabym życia i postarałabym się o kochanków... Pan byłbyś naturalnie pierwszym...

*

W innych czasach była hałaśliwej,[1] szalonej wesołości i zdolna do każdego głupstwa. Pewnego wieczoru odesłała powóz i kazała się Giorgiowi piechotą odprowadzić do domu. Było porządnie zimno, a chociaż była dobrze otulona w futro, drżała przecież na całem ciele. Giorgio był w najgorszym humorze i starał się jak mógł przyprowadzić ją do rozumu. Śmiała się tymczasem z niego i twierdziła, że to bardzo zabawne, chociaż zęby jej uderzały jedne o drugie. Noc była pogodna

i jasna. a po za Porta San Gallo nie było widać żadnej żywej duszy. Nata musiała się silniej owinąć w futro i przytulić się do niego. Głęboka cisza, ostre powietrze, ciemność, spotęgowana podwójnym szeregiem latarni opuszczonej Viale, samotność wszystko to drażniło ją i burzyło.

— Szkoda, że niema ani trochę winy w tem co czynimy — mówiła drżącym głosem, przyczem oczy jej świeciły się w ciemności i kilka razy zaśmiała się nerwowo. — Ludzie, którzy nas spotykają, uważają nas widocznie za parę miłosną, prawda Giorgio? — Oh, nie gniewaj się pan, że pana nazwałam po imieniu; pozwoli mi pan odtąd czynić to zawsze, sam pan przecież powiedziałeś, że niewiele mi już pozostaje do życia!

Nawet gdy żartowała, nie mogła się powstrzymać od ponurej wzmianki o śmierci.

Często zapraszała Giorgia na śniadanie w cztery oczy. Kazała wtedy nakrywać w małym saloniku stół, przysunięty do okna i starała się temu przy jasnem świetle dziennem odbywającemu się śniadaniu nadać barwę dwuznaczną. Kosztowała wszystkiego, co podano, piła nawet zaleconego przez lekarza burgunda, a gdy stanęła przed nią kawa tworząca koniec śniadania, opierała łokieć na zsuniętej trochę serwecie i rozmawiała jak dobry kolega.

Śmiejac się, opowiadali sobie o swych zwycięztwach, o swych miłostkach i swej młodości.

Raz zakochała się w studencie, a właściwie w wielkim chłopcu dopiero, ale pięknym do malowania, mówiła, z wielkiemi, czarnemi oczyma, z szyją, którą trzeba było widzieć, gdy zdjął z niej czerwony krawat i kołnierzyk, aby przed Porta San Gallo grać w piłkę. Wtedy codzienie wyjeżdżała konno na spacer i zwykle tam jeździła, aby go zobaczyć i sama być widzianą. Ambitny i uparty student, grał rolę dumnego i udawał, że nie zauważa, iż piękna kobieta przyjeżdza tylko po to, aby go zobaczyć i podziwiać. W rezultacie jego sporna ambicja musiała się czuć pochlebioną, gdyż nietylko, że zaczął na nią zwracać uwagę, ale nawet ubierał się lepiej, przestał grać w piłkę i spotykał ją na każdym kroku, na ulicy, w teatrze, wszędzie. Iluzja wtedy znikła i nie patrzyła więcej na niego.

— Szkoda! Bez swej kurtki aksamitnej nie był już tym, co dawniej!

W takich chwilach hrabina i Giorgio ani na jedną sekundę nie pomyśleli o tem, że się kochają lub że się kiedyś pokochać mogą, jednakowoż on był zawsze więcej zakłopotany od niej i czuł, że byłoby śmiesznem, gdyby mu się nie udało wpaść w ten sam ton, co ona. Często jednak doprowadzała go do szaleństwa i wywierała na niego szczególny wpływ, który mu utrudniał jego rolę. Ona natomiast miała zawsze w pogotowiu wzniosły, niekiedy gorzki epigram.

— Oh, gdybym była mężczyzną! — zawołała raz. — Jak pan sądzisz, jakbym ja wyglądała, jako mężczyzna? Biedny Giorgio! Z pewnością nie tak, jak pan! — skończyła śmiejąc się, ale kaszel położył prędko kres jej śmiechowi.

Często, gdy była bardzo czuła, nagle zmieniał się jej nastrój. Stawała się niespokojną, traktowała go z lekceważeniem i patrzyła na niego prawie z gniewem. Popadała potem w długie i podrażnione milczenie, a napełniała ją jakaś niewytłómaczona, dzika tęsknota, sama nie wiedziała, za czem. Jeżeli w takiej chwili podniosła brwi do góry, to z oczu jej tryskało okrutne spojrzenie.

Pewnego wieczoru na balu w wirze kotyljona wsunęła ukradkiem swoją rękę w jego dłoń. Policzki jej były lekko zarumienione, oczy jej błyszczały i oddychała, jakby się chciała upoić powietrzem, ręka jej jednak była suchą i gorącą.

— Czy nie zauważyłeś pan, że Brenti zaczyna się do mnie zalecać? — zapytała.

— Biedny Brenti! Nie chciałbym, abyś pani powiedziała to samo o mnie z tym samym uśmiechem, który teraz igra na ustach pani.

— Podoba mi się ten sposób, w jaki się do mnie zaleca — ciągnęła dalej, wzruszając ramionami, które przy tej sposobności zdawały się występować z jej biustu. — Spojrz pan tylko na tego młodego człowieka, jak tam stoi przy drzwiach. Patrz pan tylko na jego oczy! i robi tak już przez cały wieczór. Niema chyba więcej nad piętnaście lat... piękny wiek! Chciałabym znajdować się w jego piersi i czuć, jak mu serce bije, gdy rzucę na niego spojrzenie! Naprawdę! Podoba mi się z tą nieśmiała miną i temi płonącemi oczyma.

— Sza, zauważył, że o nim mówimy.

— Jakże będzie wzruszony z tego powodu, biedny malec! Zapewniam pana, że już nieraz coś mnie kusiło, aby przejść obok niego i w natłoku, nie patrząc na niego, uścisnąć mu ukradkiem rękę.

— Dlaczegoż nie chcesz go pani zaraz uprowadzić w swoim powozie?

— Tak, dlaczego nie? — odparła z nerwowym uśmiechem. — Są chwile, w których czuję, że krew tatarska, napełniająca moje żyły, bije mi do głowy.

— Ależ posłuchaj pani! Taka historja nie byłaby wcale przyjemną dla mnie... gdybym był pani kochankiem!

— Nie — odparła roztargniona — to prawda, ale ponieważ pan nim nie jesteś i nie będziesz nigdy i ponieważ jesteśmy zamiast tego dobrymi kolegami... Powiedz mi pan, gdyby ci wszyscy ludzie wiedzieli o tych wszystkich głupstwach, jakie popełniamy razy, pan taki poważny, taki dystyngowany... Jakże elegancko pan dzisiaj wyglądasz! Ależ włóż pan kamelję głębiej w butonierkę... Prawda, że we mnie tkwi coś z łobuza?

Około tego czasu wbiła sobie Nata w głowę, że ma skłonność dla jakiegoś linoskoka i co wieczora chodziła do teatru Rozmaitości, gdzie występował. La Ferlita, znajdując się pewnego wieczoru przypadkiem w jej loży zauważył to po tem, iż trzymała długo lornetkę zwróconą na sztukmistrza. Jako dobry kolega pozwolił sobie uczynić złośliwą uwagę.

— No i widzisz pan, jacy wy mężczyźni jesteście niesprawiedliwi — rzekła. — Podoba wam się jakaś baletniczka, pędzicie, aby ją zobaczyć i wykręcacie sobie ręce, waląc oklaski. Czyż sądzicie, że pięknej kobiecie nie może się podobać piękny mężczyzna, i że linoskocy i kuglarze są tylko na to stworzeni, aby się podobali wam, panom stworzenia? Czyż nie chodzicie do muzeów, aby podziwiać Apollina lub Bachusa? Spojrz pan tylko na tego człowieka, czy nie jest pięknym jak posąg? Nie chciałabym go mieć u siebie w przedpokoju, ale na linie podoba mi się!

Tym razem gniewał się La Ferlita naprawdę, Nata jednak nie troszczyła się o to wcale. Ona, która nigdy nie dawała poznać swego zadowolenia, była pierwszą, która klas-

kała i bez ustanku patrzyła przez lornetkę na Antinousa na linie.

Wreszcie zauważył biedaczysko, jakie wrażenie wywarły na dystyngowanej damie jego złote blaszki i jasne blond włosy i zmieszał się do tego stopnia, że stracił pewność siebie. Zwykły, przeznaczony dla wszystkich uśmiech, znikł z jego twarzy; zamiast tego kłaniał się tylko w jedną stronę oklaskujących go widzów, na lewo i zaplątał się kilka razy w narzędziach i linkach, i gdy w końcu z wdzięcznym ukłonem chciał skoczyć na obie nogi, wywrócił mimowoli koziołka. Wszyscy widzowie mieli dla biedaka tylko współczucie i litość, hrabina jednak wybuchnęła takim śmiechem, że musiała twarz zakryć chusteczką. Biedny sztukmistrz nie odważył się już występować tego wieczora.

— Oto widać, czem jest sława! — zawołała wesoło, zobaczywszy, że i Giorgio się śmieje — zawsze się tak dzieje, gdy się czemś zachwycam.

*

Następnego dnia znalazł ją Giorgio w teatrze Pergole i była znowu zupełnie inną. Miała na sobie wyciętą przybraną koronkami chustkę, była obładowana brylantami i dystyngowanie zimna. Z pogardliwie wydętemi usty trzymała w ręku wachlarz i na wszystkie ukłony, którymi ją witano odpowiadała zaledwie dostrzegalnem skinieniem głowy. Co najwyżej pozwalała sobie z loży skierować lornetkę na znajomych. Przyjaciel, kolega z dnia wczorajszego, gubił się w tłumie, który ją otaczał i wyróżniała go zaledwie lekkim uśmiechem. Nie należała już do niego, lecz z podniesioną głową wracała do swej własnej sfery.

Pewnego razu na balu dostała napadu kaszlu i przyszedłszy do siebie, powróciła do sali blada jak wosk, zaczęła jednak tańczyć znowu, jak gdyby się nic nie stało. Gdy opuszczała zabawę, towarzyszył jej Giorgio do powozu. Jeszcze blada i milcząca, otulona w futro, z kapturem zsuniętym głęboko na czoło i szalem owiniętym trzy razy do koła głowy, zstępowała, oparta na jego ramieniu po schodach

— Dlaczego mi się pan tak przypatrujesz? — zapytała, marszcząc lekko brwi. — Możnaby sądzić, iż prowadzisz pan umierającą.

Słowa te i jej wzrok prześladowały go przez całą noc.

*

Była przez kilka dni chorą i nie przyjmowała nikogo. Ukazała się potem znowu w teatrze i na balu, trochę blada i szczuplejsza, ale jak dawniej pełna życia i żądzy zabawy.

Gdy zbliżała się wiosna, zaczęła mówić o kąpielach i podróżach i roiła plany z przyjaciółmi, których spodziewała się spotkać w kąpielach i w Szwajcarji.



Wiadomości artystyczne i literackie.

W Tuluzie odbywają się obecnie uroczystości literackie gaskońskie. Członkowie licznych stowarzyszeń prowincjonalnych, pielęgnujących narzecza południowo-francuskie, jak „felibrowie", jak niedawno powstała kompanja „kadetów gaskońskich", zjechali się tam w celu odsłonięcia pomników dwóch poetów langwedockich, Gondonli'ego i szewca Vestrepaina. Na uroczystości te zjechał i minister oświaty, p. Leon Bourgeois, który był w swoim czasie prefektem Tuluzy i zostawił tam jaknajlepsze wspomnienie.

Czas krakowski drukuje nowe prace Michała Rollego pt. „Bohater Mickiewiczowskiej tragedji, sylwetka jenerała poety"

Adolf Czerny skreślił w 28 numerze **Svetozora** obszerną sylwetkę dra Marjana Zdziechowskiego.

Nowa Opera. Uczeń Mascagniego Nino Belluci skomponował 3 aktową operę pt. „Lizella". Wystawiono ją w Pesaro pod batutą Mascagniego. Publiczność przyjęła operę sympatycznie.

W teatrze Nowym w Warszawie ogromnem powodzeniem cieszy się operetka Messagera pt. „Narzeczona na loterji".

Teatr Łazienkowski wystawi nowy balet „Brahma".

Odeon warszawski zapowiada na sobotę pierwsze przedstawienie obrazu mieszczańskiego Szladera pt. „W sieci pajęczej".

Przewodnik naukowy i literacki dodatek do „Gazety Lwowskiej" wyszedł za miesiąc sierpień i zawiera: I. Potwarcy Mickiewicza, przez, Władysława Mickiewicza. — II. Kto jest Mickiewicz? (Synteza jego poezji), przez Józefa Tretiaka. — III. Andrzej Zebrzydowski, biskup wrocławski i krakowski (1494 — 1560 roku). Monografja historyczna, przez dr. Tadeusza Truskolańskiego. — IV. Listy Salomei Słowackiej-Becu do Antoniego Edwarda Odyńca (1826 — 1829 r.). przez Leopolda Méyeta. — V. Paweł Piasecki, historyk polski XVII. w Studjum nad kroniką i życiem jej autora, przez Adama Szelągowskiego. — VI. Historja literatury nowohebrajskiej w Polsce i Rosji w XIX wieku, przez M Weissberga. — VII. Z literatury społecznej, przez dr. Władysława Pilata. — VIII. Do systematyki ekonomji społecznej, przez A. Korkisa. — IX. Kronika Mickiewiczowska — opracował dr. Adam Bieńkowski.